

Dwa radykalizmy życia

Tomasz Rowiński

Jeśli mam jako chrześcijanin żyć dla Chrystusa, to co to właściwie znaczy? Zbawienie zostało darmo dane, ale Bóg składa w ludzkim sercu pragnienia, które bezpośrednio wiążą się z Jego istnieniem. Trudno zaprzeczyć temu doświadczeniu, które niejednego zaprowadziły do świętości. Do czego doprowadza mnie badanie własnego serca?

Intuicja wynikająca z takiego badania podpowiada mi, że w polu mojego doświadczenia dostępne są mi dwa radykalizmy. Dwa fundamentalne radykalizmy, które z pewnością można później niuansować. Oba opierają się na przeczuciu, że podążanie za Chrystusem oznacza właśnie jakąś formę Jego naśladownictwa poprzez wybór ubóstwa, ogołocenia i ufności Bogu.

Pierwszym oczywistym sposobem realizacji naśladowania Jezusa jest powołanie do życia pustelniczego. Możemy tutaj rozróżnić istniejące w tradycji formy

takiego życia, zakładające lub nie, udział w takiej czy innej wspólnocie, mniej lub bardziej ścisłej. Można nawet podsunać przekonanie, że każde życie kapłańskie, mnisze, zakonne jest wezwaniem do pewnego rodzaju pustelnicstwa. Życie to bowiem wezwane jest do stałego obcowania z Bogiem, które ma prowadzić do wyrzeczenia się dóbr, a także własnej woli, a może jeszcze bardziej własnej "dyspozycji". Ta "opcja" niedysponowania sobą jest jakimś znakiem szczególnym tego co określiłem jako bycie pustelnikiem. Nie dysponował sobą Eliasz, ani wdowa, która go karmiła.

Nie chodzi też tutaj o zbytne rozszerzanie rozumienia tego czym jest pustelnik, ani tym bardziej o rozmywanie tego powołania. Jeśli chcesz być pustelnikiem idź na pustynię, idź do biskupa i powiedz, że chcesz się zamknąć w sanktuarium samotności, które jednak wypełnione jest, poprzez modlitwę, Bogiem. Jednak wezwanie do pustyni wydaje mi się zawsze obecne na drodze życia konsekrowanego. Konsekracja wiąże się, w początkach ruchu monastycznego w Kościele, z wyjściem poza społeczność ludzką, rozumianą jako "ten świat", ku samotności lub w stronę wspólnoty doskonalszej, bliższej Bogu.

Jednak kiedyś przez długi czas rozważając tę drogę, jako drogę dla siebie, natykałem się na pewnego rodzaju pokusę, której nie potrafiłem usunąć. Była to pokusa posiadania znaczenia. Wybranie do życia konsekrowanego niesie w sobie taką pokusę. Poprzez swoją modlitwę, nietypowość drogi, ewentualną służbę innym, można budować siebie, swoje poczucie wartości. Taką pokusę może napotkać każdy. Istnieją dwie możliwości wyjaśnienia trudności z jej odrzuceniem. Albo nasze intencje nie są dostatecznie oczyszczone, albo próbujemy wdzierać się na drogę, która nie jest nasza. W ten sposób docieramy do drugiego radykalizmu. Być może dla kogoś kto bardzo pragnie żyć blisko Boga radykalizm ten wydawać się będzie paradoksalny. Jest nim bowiem życie rodzinne. W pewnych odcieniach duchowości chrześcijańskiej zwykłe życie rodzinne nie było z natury ani radykalne, ani nie było drogą do świętości.

Konieczne jest tu jeszcze jedno słowo wytłumaczenia. Bez wątpliwości kroczenie za Chrystusem nie jest realizacją siebie w takim sensie, jak mówi nam o tym psychologia. Ubóstwo duchowe nie jest realizacją siebie. Gdy działam w duchu samorealizacji doświadczam zaprzeczenia wezwania do obcowania w polu Bożego oddziaływania. Nie chodzi o to by się realizować, rozwijać zakres swojej mocy, ale by poddać się kondycji, w której się znajdujemy wedle porządku jaki daje Boże powołanie.

Co daje medytacja powołania jakim jest życie rodzinne? Pozwala odkryć, że życie rodzinne to życie ukryte. Nie koniecznie w sensie rozróżnienia na to co "prywatne" i to co "publiczne". Raczej w sensie doświadczenia życia rodziny z Nazaretu, pewnej jego nieistotności. Peguy pisał o ciągu pokoleń poprzedzających nasze istnienie, ciągu anonimowym, pokornym poprzez otaczające go zapomnienie. Zarówno dla kultury antycznej greckiej i rzymskiej, ale też dla Żydów zapomnienie jest największym przekleństwem. Taka czy inna forma samorealizacji (choćby

przez chwalebłą śmierć) ma nas od zapomnienia uchronić. To znaczy że warto oddać życie, by nie zostać zapomnianym. Spójrzmy na współczesną refleksję dotyczącą Holocaustu. W różnych jej wątkach spotykamy się z twierdzeniem, że największą tragedią tych ludzi było to, że odeszli z tego świata zupełnie bezimiennie w nieskończenie wielkiej i przerażającej masie - zapomniani są więc współczesną masą potępioną. Nie można dojść do innych konkluzji jeśli bierze się w nawias pamięć Boga.

Doświadczenie

życia w rodzinie stawia wobec sytuacji kuszenia, jakiego Jezus doznał na pustyni. Można wejść w logikę szatana i wziąć w posiadanie królestwa tego świata, wziąć życie rodzinne we własne ręce, objąć nad nim władzę jako nad jedną z wielu domen samorealizującego się życia, albo wejść najgłębiej jak to możliwe w kondycję takiego życia. Jest tu niezwykle silne powiązanie - odmowa szatanowi na pustyni prowadzi Chrystusa bezpośrednio na Krzyż. To Ojciec prowadzi swojego Syna na Krzyż, który jest Bramą Życia. Wybór drogi jaką proponuje szatan, także kończy się na krzyżu, ale jest to zwykły krzyż śmierci ciała, ostatecznego upokorzenia.

Rodzina jest najkonkretniejszą daną człowiekowi kondycją, w której może on wejść w postawę sługi, kierowanego przez Boga, w posłuszeństwie Jemu. To posłuszeństwo ma rozmaite przejawy, nieco inne dla kobiety i dla mężczyzny. Jednak chciałbym zwrócić uwagę na jeden, może dwa elementy. Pierwszym z nich jest czas. Życie rodzinne daje nieskończone niemal możliwości w ogałaniu się z czasu "dla siebie". Rezygnacja z "czasu dla siebie" jest pewną formą "wydania się w ręce innym". Nie znaczy to, że tylko czekamy na polecenia i wykonujemy je. Raczej nastawiamy się na nieustanne ukierunkowanie ku dobru rodziny. Formowanie się, pomijanie zachcianek, które pomijają naszą kondycję. Taką formą pomijania kondycji rodzinnej jest właśnie choćby chęć bycia zapamiętanym. Ponieważ pamięta się tylko o jednostkach i pamięć ludzka nie służy niczemu innemu jak tylko pamiętaniu, własnej chwale. Pamięć jaką ma dla nas Bóg służy zbawieniu, owszem także własnemu, ale także tych z którymi żyję. Schematycznie można ten problem przedstawić następująco. Jeśli mam do wyboru zadbać o swoją pamięć u ludzi lub modlić się ("dbać o pamięć u Boga") powinienem iść głębiej. Jednak całkowite oddanie się kondycji swojego stanu sprawia, że czas na modlitwę możliwy jest jedynie w nocy (pomijając różne formy modlitwy nie wymagające określonego kontekstu), tylko jako czuwanie. To doprowadza do drugiego elementu charakteryzującego sługę. Poświęcenie swojego ciała. W tym możemy być podobni do Chrystusa.

Lekceważenie

dla zmęczenia, nie szukanie odpoczynku. Oczywiście nie każdy potrafi spać dwie, czy nawet pięć godzin na dobę, ale istotne jest to nastawienie na osobistą "kenozę". Kenozę nie może być przyczyną zaniedbania innych obowiązków stanu. Nie jest ona samodzielna, wymaga ciągłego szukania równowagi, ale zawsze na granicy, na której następuje upokorzenie serca. Serce bowiem ma skłonność, by brać co się da - dla siebie, wypełniać się czasem, który nie może go zaspokoić. Deficyt czasu, niezaspokojenie serca, niepozwalanie by zajmowało się samym sobą stawia mnie bliżej Chrystusa w Jego wydaniu się za nas. Uczciwe badanie swojego serca każe mi powiedzieć, że im bardziej jestem ubogi (w tym szerokim sensie) tym bardziej pragnę być jeszcze uboższy i tym bardziej pragnę Boga. Wiąże się z tym jakaś łaska.

Zasadniczo poza samym

"środowiskiem życia", można by powiedzieć, że nie ma tu niczego specyficznego dla doświadczenia życia w rodzinie. Powyższe uwagi mogłyby się stosować także do "pustelnika", a jednak w Bożym zamyśle jest tak, że jedni nie mogą znaleźć spokoju serca tu, a inni tam. Czy to kwestia decyzji Boga o powołaniu konkretnego człowieka, czy może jakiejś wewnętrznej, przyrodzonej doskonałości jednych czy drugich? Tego nie potrafię rozstrzygnąć.

"Reżyserska" wersja artykułu z Tygodnika Idziemy 3[228] 2010